Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich Oddział w Olsztynie

nr 10 (73) grudzień 2010

bezwierszówki

SDP

Miesięcznik społeczno-kulturalny

ISSN 1732 7327

CZYTELNIA GŁÓWNA
ul. Stare Miasto 5
10-026 OLSZTYN
Telefon: 089 535-57-01

Godne Święta najdalszej z polskich ziem

Boże Narodzenie trochę inaczej

Region Warmii i Mazur był od wieków terenem pogranicza. Miało to konsekwencje dla tutejszej kultury ludowej jednoczącej w sobie pierwiastki bałtyjskie, słowiańskie, germańskie. Kultura ludowa Warmii i Mazur ma więc dość specyficzny charakter i różni się w wielu szczegółach od kultur regionalnych pozostałych części Polski.

Czas pomiędzy wigilią a dniem Trzech Króli nosił tu nazwę Godów, albo Godnych Świąt. Była to piękna staropolska nazwa oznaczająca czas uroczysty, świąteczny. Do dziś przetrwało to określenie dla oznaczenia okrągłych jubileuszy pożycia małżeńskiego.

Świece na wieńcu

Świętowanie rozpoczynało się z początkiem adwentu. W tym dniu splatano wieniec adwentowy z gałązek świerkowych. Umieszczano go na specjalnej drewnianej konstrukcji przypominającej formą czteroramienny żyrandol. Na jego ramionach umieszczano cztery świece, najczęściej czerwone, symbolizujące cztery tygodnie adwentu. Z każdym kolejnym tygodniem związany był inny kolor wstążek, którymi ozdabiano wieniec. W pierwszym tygodniu wstążki były czerwone, w drugim żółte, w trzecim srebrne, w czwartym złote. Wieniec zawieszano w paradnej izbie, czyli reprezentacyjnym pomieszczeniu. Zdejmowano go w dniu wigilii, kiedy do domu wnoszono choinkę. Choinka pojawiła się na Warmii i Mazurach stosunkowo późno, bo około 1910 r. Wcześniej w czterech narożnikach izby stawiano cztery snopy zboża – wszystkich uprawianych w gospodarstwie gatunków.

W czasie adwentu, podobnie jak dziś, robiono generalne porządki w domu i zagrodzie, przygotowywano zapasy żywności i paszy dla zwierząt. W czasie Godów obowiązywał zakaz pracy, obwarowany sankcjami o charakterze magicznym. Nie wolno więc było prząść na kołowrotku, rżnąć sieczki i w ogóle wykonywać prac wymagających okrężnego ruchu. W przeciwnym razie mogły się urodzić cielęta z zaszytymi pyskami, lub pojawić się wilki w obejściu. Nie wolno było smażyć skwarków, bo to sprowadza wszy, ani gotować grochu, bo to powoduje wrzody.

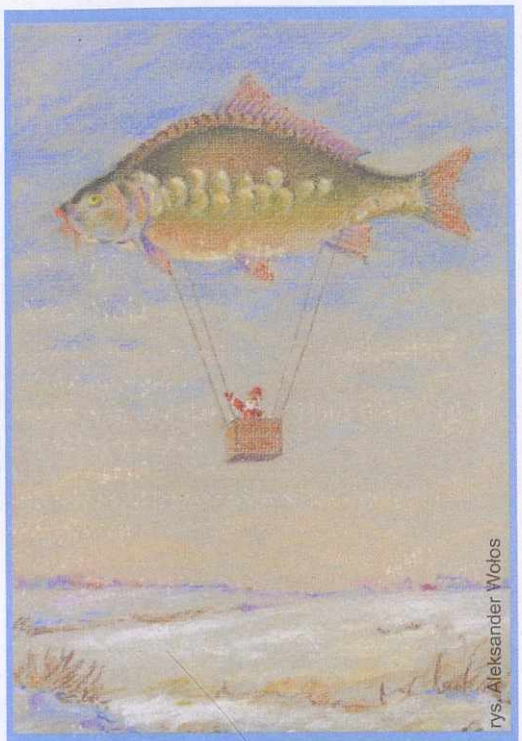

rys. Aleksander Wołos

Świąt dobrych, pogodnych, z chwilą na przemyślenia – życzy Zespół Redakcyjny

Godowe jarmarki

Podczas adwentu pieczono pierniki. Jeśli słońce zachodziło w czerwonej łunie mawiano, że aniołki w niebie pieką pierniki, a łuna to odblask z anielskiego pieca. Wyrabiano też marcepany, bez których, podobnie jak bez pierników, nie mogła się obyć wigilia na Warmii i Mazurach. Adwent był czasem wykonywania ozdób choinkowych z kolorowego papieru, bibuły, słomy, nasion różnych roślin. Oprócz tych ozdób na choince zawieszano jabłka, cukierki i orzechy. Mniej więcej tydzień przed wigilią w Olsztynie i innych większych miastach regionu odbywały się wielkie jarmarki godowe, na których czyniono ostatnie zakupy. Jeśli w domu były dzieci, wracający z jarmarku ojciec „gubił" jabłka, cukierki, czy pomarańcze, które dzieci zbierały. Na Mazurach w dniu wigilii rano w kościele odbywała się Jutrznia na Gody – widowisko o treści religijnej, rodzaj jasełek, połączony ze śpiewaniem kolęd w wykonaniu ubranych na biało dzieci.

Do stołu zasiadano, gdy wzeszła pierwsza gwiazda. Warmińsko-mazurski stół wigilijny różnił się znacznie od ogólnopolskiego. Nie było tu zwyczaju wkładania sianka pod obrus, łamania się opłatkiem, dwunastu potraw, a kolacja nie była postna. Na stole stawiano pieczoną gęś, kiełbasy drobiowe, chleb pieczony w szerokich, prostokątnych formach i smarowany po wierzchu rozmąconym jajkiem, by miał lśniącą skórkę. Podawano różne ciasta, w tym koniecznie pierniki, marcepany i fafernuchy – rodzaj pierników przyprawionych pieprzem, spożywanych jako zakąska do piwa.

Wróżby na szczęście

Pod choinką lub przed każdym z biesiadników stał talerz napełniony jabłkami, w domach zamożniejszych także pomarańczami, cukierkami, orzechami i ciastem. Po kolacji rozpoczynały się wróżby: matrymonialne, o losie, urodzajach i pogodzie. Ze snopa słomy stojącego w izbie każdy wyciągał jedno źdźbło. Proste i gładkie oznaczało takież życie, skrzywione lub zgniecione, albo z tzw. „kolankami" życie pełne nieszczęść, chorób i problemów. **dok. str 5**

Mówi się o tym

Jak cię widzą, tak głosują

Daleki mój znajomy (mieszka nad Wisłą) zbiera ulotki wyborcze. Z różnych stron Polski. Taka, nieszkodliwa słabość. W tym roku przyczyniam się do wzbogacenia jego zbiorów. Dopiero, gdy uskłada się ich niezła sterta, widać sens zbieraczej pasji mego znajomego.

Co z tych ulotek wynika? Kompletne bezguście. Jedynie kilka wyjątków odbiega od sztampy wymyślonej przez żądnego zysku szaleńca. Trudno być przeciwnikiem zdjęć portretowych. Popatrzmy sami – białe tło jest dla większości twarzy bezlitosne, widać zmarszczki, źle ułożone włosy (bywa, że zaniedbane od tygodni), fałszywy uśmiech, usztywnienie powagą portretowej chwili, etc.

. Oddzielna sprawa, to hasła, mające przyciągnąć tłumy wyborców. Nie zamierzam ich cytować. Niektóre tak pasują do sportretowanego, że wywołują efekt przeciwny od oczekiwanego. Na tę osobę nigdy nie będę głosować, chociaż przyznaję punkt za poczucie humoru, brak krytycyzmu i gustu. O gustach – podobno – się nie dyskutuje. Bzdura! Dyskutuje, tyle że za plecami osoby pozbawionej gustu.

To interesujące, że bez wyrzutów sumienia egzystują nieźle opłacani wszelkiej maści doradcy, konsultanci, przyjaciele, krawcy, fryzjerzy, wizażyści, kosmetyczki – armia profesjonalistów. Rezultat ich fuszerki można będzie podziwiać jeszcze długo na każdym słupie. Mimo, że już po wyborach

I że te smagane deszczem wizerunki nie drażnią samych bohaterów – przegranych i wygranych. Na festiwalu złego gustu. Może więc dobrze się stało, że większość musi zadowolić się przegraną. Płynie z tego wniosek prosty – jeśli ktoś nie dba o swój wygląd, to jakim cudem zatroszczy się o dobro wspólne? Ciekawe, czy za rok wizerunki kandydatów staną się pociągające na tyle, że sprawią kłopot wyborcom?

Zastępca

Tak, w ubiegłym roku minęła piąta rocznica konkursu III sektor w mediach, organizowanego od roku 2005 przez Radę Organizacji Pozarządowych Miasta Olsztyna i olsztyński Oddział Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich. W tym roku jest to więc szósty konkurs. Tak długo trwa też współpraca SDP z Radą.

Po raz szósty – Trzeci Sektor w Mediach

Dziennikarski konkurs

W 2006 roku SDP podjęło ściślejsze współdziałanie, i to pozwoliło złożyć projekt „Partnerstwo dla wspólnego dobra" do Ministerstwa Pracy i Polityki Społecznej. Otrzymaliśmy dzięki temu znaczne środki, za które zorganizowaliśmy szkolenia dla organizacji pozarządowych w zakresie kontaktów z mediami. Projekt okazał się na tyle nowatorski, że był zaskoczeniem dla – zorganizowanej dwa lata później przez Radę Europy –konferencji w Grecji, właśnie na ten temat. Cały 2006 rok zajmowały nam szkolenia. W rok później zajęliśmy III miejsce za najlepszą inicjatywę organizacji pozarządowej w ocenie Rady Organizacji Pozarządowych Miasta Olsztyna i Prezydenta Olsztyna.

Przypomnijmy nazwiska laureatów dotychczasowych konkursów: za rok 2005 – Anna Szapiel z „Gazety Olsztyńskiej" (III nagroda), zespól studentów, twórców portalu internetowego www.olsztynonline.pl (II nagroda) oraz Jerzy Pantak (I nagroda) z „Nowego Życia Olsztyna". Za 2006 rok – I nagroda Joanna Wojciechowska pisząca o inicjatywach podjętych przez „Borussię"; dwie równorzędne nagrody – Elżbieta Rutkowska z olsztyńskiej TVP3 oraz Zbigniew Wytrążek. W trzecim nagrodzono Zbigniewa Wytrążka za redagowanie wkładki do miesięcznika „Bez Wierszówki", poświeconej Radzie Organizacji Pozarządowych Miasta Olsztyna. W czwartym konkursie (za 2008 rok) – nagrody otrzymali: Jerzy Pantak i Jacek Panas z Radia Olsztyn

I ubiegłoroczny (za 2009 r.) pierwszą nagrodę otrzymała Elżbieta Mierzyńska za cykl reportaży prasowych i telewizyjnych o niknących dworcach. Dwie równorzędne drugie nagrody otrzymali: Andrzej Brzozowski oraz Wacław Brudek za specjalną zakładkę – „III sektor" na portalu internetowym Olsztynonline. W tym roku przyznane zostały dwie równorzędne I nagrody – Adamowi Krzykowskiemu z TVP oraz Marcie Bartoszewicz z TVP Olsztyn. **jk**

Andrzej Zb. Brzozowski

Limeryki dziennikarskie

Powyborczy remanent

Rzecz to rzadko spotykana,
Każda partia jest wygrana.
Tak to jakoś wszystko wyszło.
Polityczny cud nad Wisłą.
Z cudów Polska jest już znana.

Kilka pytań

Nowe partie? Nowe kluby?
Nowych koalicji próby?
Może prezes jest zbyt miękki?
Koniec rządów silnej ręki?
Gdzie znów dojdzie do rozróby?

Bez wierszówki – miesięcznik społeczno-kulturalny Oddziału SDP w Olsztynie.
My w Internecie: www.sdp.pl, www.zycieolsztyna.pl
Prezes oddziału: Joanna Wańkowska-Sobiesiak (tel. 089 523-26-11)
joanna-wankowska@wp.pl
Redaguje: Krzysztof Panasik z zespołem; krzychpanasik@gmail.com (kom. 695-782-690)
bezwierszowki@o2.pl. DTP: Paweł Lik
Druk: Studio Poligrafii Komputerowej "SQL" s.c.. Redakcja zastrzega sobie prawo do zmiany tytułów i skracania tekstów. Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca.
Nakład 300 egz.

Konto oddziału SDP w Olsztynie: Bank Pekao S.A.
O/Olsztyn 40124055981111000050316164
Wydano przy pomocy finansowej Samorządu Miasta Olsztyna

Ryszard Czerwiński 1937-2010

Rozumiała go przyroda

Z albumu „Karkonosze"

Siedzieliśmy w ciemni filmowego laboratorium, na ekranach, jeszcze bez dźwięku, przewijały się ujęcia przyszłego filmu. Mieszały się pory roku, zmieniało naświetlenie, intensywność barw, a to obrazy z oddalenia, to bliski plan.

– Można byłoby się obyć bez muzyki – zamruczał. Raptem stop-klatka: łąka – kwitnąca żółto, czerwono, biało, niebiesko, z obrzeżem zieleni. Nic się nie dzieje. Cisza. Siedzi i patrzy na tę swą łąkę w milczeniu. Obrazy ruszyły dalej. Na Zalewie Wiślanym z katedrą fromborską w tle, wbite w dno słupki. Na szczycie każdego z nich mewy.

– Jak nuty – mruczy.

Wtedy sprawiał wrażenie wyraźnie zadowolonego, mimo że nie było widać jeszcze zarysu fabuły, jaka z tych ujęć powstawała.

Raczej pamiętam go jako zawodowego malkontenta. Kiedy cenzura miała pretensje do zdjęć, zamieszczonych w gazecie, bo dostrzeżono krzyż na wieku trumny jakiejś zmarłej osobistości, albo w głębi kadru, na tle gęstych krzewów – żołnierza w hełmie, wtedy klął i zarzekał się, że musi to rzucić i iść „na film". Wtedy chcieliśmy jechać pod Grodno, gdzie był pochowany ostatni król Polski. Były jakieś przeszkody „poważne". Okazało się, że to prof. Kwiatkowski z przyjaciółmi stara się o przeniesienie do Polski resztek szczątków królewskich.

Rysiek najlepiej czuł się ze swoimi ptakami (przedstawiał się jako ornitolog, choć miał wykształcenie techniczne), w samotności jakichś moczarów, w skonstruowanych przez siebie kryjówkach, z których podpatrywał świat ciągle niepoznawalny. Miał w dorobku takie filmy przyrodnicze, jak „Czaple i kormorany", „Czarny bocian", „Łąka", „Łosie", a później – słynny film 'Bocian przynosi wiosnę" (dumny jestem z tego, że dał się namówić i gościł na tych łamach ze swymi fotografiami, wraz ze spisaną przez siebie bocianią gawędą). Pracował w redakcji przyrodniczej TVP, jako operator filmowy, m.in. robił filmy przyrodnicze dla Niemców i Amerykanów, filmował m.in. Góry Skaliste.

Wystawiał też swe prace w kilkudziesięciu krajach świata. Zajmował się nie tylko fotografią prasową, ale i książkową. Wydał liczne albumy z fotografiami przyrody polskiej m.in.: „Karkonosze", „Warmia i Mazury" (z moim wstępem – kp), „Cuda Polski", oraz „Pejzaż Polski" z tekstem Ryszarda Kapuścińskiego. Był członkiem Związku Polskich Artystów Fotografików.

Spotykaliśmy się nie tylko w ciemniach laboratoriów fotograficznych i filmowych, także w klubie DŚT, przy ul. Mickiewicza. Po latach, po likwidacji DeeŚTu i zadomowieniu się tam banku, stojąc w kolejce do bankomatu zauważam idącego Ryśka. A on, mając przed sobą kolejkowa publiczność, ośmielony rzekł melancholijnie: – Popatrz, Krzysiek, jest na świecie sprawiedliwość: kiedyś traciliśmy pieniądze na piętrze klubowym, dziś je odzyskujemy na parterze. Opłacało się!

Spoczął w alei zasłużonych cmentarza przy ul. Poprzecznej w Olsztynie. Miał 72 lata, wilnianin.

Krzysztof Panasik

Soliści, orkiestra i chór – symfoniczna terapia

Leczenie Mszą o św. Mikołaju

Środowisko lekarskie, nie dość że solidarne przykładnie, to przy tym wysoce utalentowane. Poza pasją codzienności z nieodłącznym stetoskopem, lekarze oddają się literaturze, sztukom plastycznym, muzyce.

Kto wie na przykład, że lekarze koncertują w międzynarodowym składzie, jeśli obdarzony zostanie któryś z lekarzy-instrumentalistów zaproszeniem do grania w składzie międzynarodowym. Istnieje bowiem EMSO, European Medical Students' Orchestra, czyli grupa utalentowanych muzycznie studentów medycyny i lekarzy pochodzących z ponad 20 krajów – nie tylko europejskich. Powstała w 1993 r. w Würzburgu. Początkowo jako orkiestra kameralna, systematycznie powiększała się i obecnie koncertuje w pełnym symfonicznym składzie. Każdego roku zespół orkiestrowy spotyka się w innym kraju Europy, na wspólnych próbach i koncertach. W jej składzie pojawiała się m.in. olsztyńska skrzypaczka, na co dzień lekarz rentgenolog, Anna Śleszyńska (teraz grała Mszę Haydna).

Widać było jak wielką przyjemność sprawia całemu zespołowi, śpiew i granie

Lekarze również śpiewają tworząc poważne zespoły śpiewacze. Niedawno, w Olsztynie odbył się pierwszy Ogólnopolski Koncert Lekarzy. Koncertowali w olsztyńskiej bazylice katedralnej św. Jakuba. W programie ich występu znalazła się *Missa Sancti Nicolai In G* Józefa Haydna. Ciekaw byłem tego popisu.

Wystąpili: Maria Rozynek – sopran, Marta Panfil – mezzosopran, Kornel Maciejowski – tenor, Eryk Rymanowski – bas (śpiewacy byli gośćmi wieczoru) oraz połączone chóry lekarzy przy izbach lekarskich – Poznania, Warszawy, Szczecina, Olsztyna oraz Orkiestra Kameralna Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego (przygotowana przez Beatę Herman) – całość poprowadził gościnnie Jacek Kraszewski.

Kompozycja, z założenia twórcy mająca nieść optymizm przeradzający się w radość, tak też została potraktowana przez wykonawców. Poszczególne części dzieła muzyczno-liturgicznego (stałe części mszy – Kyrie, Gloria, Credo, Sancnus, Agnus Dei, Benedictus) podejmowane były przez wykonawców – solistów, chór, orkiestrę, z należnym miejscu i genezie kompozycji szacunkiem, ale bez koturnu, bez zasmucenia, bez przyjmowania pozycji klęczącej. Widać było jak wielką przyjemność sprawia całemu gremium wykonawczemu, śpiew i granie, a to miało wpływ na czystość podania każdego szczegółu kompozycji. Msza radosna, jej święty patron – uosobienie wiary i radości, kompozytor w takich nastrojach czujący się najlepiej. Toteż i nam – słuchaczom odbierającym w lot melodyjne przesłanie utworu – udzielał się radosny nastrój. To był dobry koncert, dobra muzyka w dobrym wykonaniu. Prezydent Piotr Grzymowicz, napisał po koncercie:

„Olsztyńska katedra ma niebywałą akustykę, więc i koncert zabrzmiał oszałamiająco. Ale porusza także jeszcze co innego. Organizatorem był olsztyński chór „Medici Pro Musica". Jakiego trzeba umiłowania muzyki i zapału, ile trzeba było samozaparcia i wysiłku, żeby w codziennym zabieganiu i trudzie znaleźć czas na próby i na przygotowanie takiej imprezy amatorskimi siłami! A wszystko po to, żeby przez pół godziny śpiewać muzykę Haydna!"

Z zapowiedzi tego muzycznego spotkania wynikał ciąg dalszy. Skoro był to pierwszy koncert, na pewno nastąpi drugi i następne. Już zacieramy ręce – co też przygotują koncertujący lekarze na następne spotkanie?

Na razie jesteśmy za wyśpiewaniem słów z druku programowego koncertu – „Vivat musica, vivat medici" !

Kaj

Zarówno przy okazji wręczania Nagrody Prezydenta Miasta im. Hieronima Skurpskiego, jak i podczas otwarcia wystawy na dwudziestolecie Instytutu Sztuk Pięknych Wydziału Sztuki Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego, nachodziło mnie wspominanie. Kiedy zaczęła się nawiązywać więź dziennikarzy z plastykami?

Nagrodzeni odwzajemniają

Gestem Znakiem Symbolem

Piotr Obarek otwiera wystawę „Gesty, znaki, symbole"

Gdy rozpoczynałem raczkowanie w zawodzie, jako aplikant (redakcje mieściły się w gmachu przy ul. Szrajbera 11), odwiedziłem bibliotekę-archiwum wydawnictwa prasowego. Życzliwy red. Stasio Paź służył wyjaśnieniami. Zdziwienie budziły pełne półki książek z zakresu historii sztuki, albumy malarstwa, rzeźby, architektury, słowniki, monografie etc.

– Nic w tym dziwnego – wyjaśniał Stasio, archiwista-poeta-dziennikarz. – Przecież spotykamy się z artystami podczas ich wernisaży i po. Jeśli nie jesteś przygotowany, choćby pobieżnie, o co zapytasz, jak ocenisz swoje odczucia, jak nazwiesz…– ciągnął życzliwie indagowany. Ta przyjaźń okazała się trwała, niekiedy owocowała kolekcjonerstwem, wzajemnym wspieraniem inicjatyw, nocnymi Polaków rozmowami.

Na takich podstawach zrodziła się moja znajomość z Hieronimem Skurpskim, z czasem przekształcona w zażyłość. Także z Andrzejem Samulowskim, Mirkiem Smerkiem, Michałem Sawaniukiem. A inni? Informuje o nich wspaniała księga nosząca taki sam tytuł, jak trwająca (do 2 stycznia 2011 roku) w Galerii Sztuki BWA, wystawa – „Gesty, znaki, symbole", doprawdy warta odwiedzania. Księga pod redakcją Piotra Obarka, dziekana Wydziału Sztuki, jest wystudiowanym przewodnikiem po pracowniach, dziełach, osobowościach olsztyńskich twórców.

A wystawa? Opanowała całą powierzchnię wystawienniczą Galerii, autorem aranżacji wystawy jest Stanisław Andrzejewski. Rysunek, malarstwo, rzeźba, projektowanie graficzne, fotografia, film, a więc – przegląd twórczości artystów, która naznacza młode indywidualności kształcące się pod ich kierunkiem.

Jednym z efektów edukacji jest druga z ksiąg, wydanych na 20-lecie Instytutu Sztuk Pięknych – „Artyści olsztyńscy. Prace dyplomowe studentów Instytutu Sztuk Pięknych". Księga utrwala pamięć takich osobowości twórczych, jak Frieda Strohmberg oraz artystów przybyłych do Olsztyna po roku 1945 – Jana Ilkiewicza, Juliana Dadleza, Marii Delikt, Aleksandra Wyborskiego, Michała Sawaniuka, Krystyny Chromy, Bogdana Stefanówa.

Kiedy słuchałem laudacji Piotra Obarka, wyczuwałem w głosie dziekana ponad urzędową czułość, gdy prezentował laureata Nagrody Prezydenta – Instytut Sztuk Pięknych, który tak wiele mu zawdzięcza. Nie byłem jedyny, który uznał, że była to nagroda na jego ręce, dla Instytutu.

Krzysztof Panasik

80-lecie Brygidy Samulowskiej, księgarza z najdłuższym stażem na Warmii

Śląskie serce bije po warmińsku

Ta historia ma więcej niż 80 lat życia jednej osoby. Zaczęło się tuż po objawieniach gietrzwałdzkich, kiedy to Andrzej Samulowski – „tatko", chcąc utrwalić polski ślad na południowej Warmi,i postanowił założyć księgarnię. Wprawdzie szyld do 1945 roku był dwujęzyczny: „Buch- und Papierhandlung Księgarnia A. Samulowski", to duch był zawsze nasz, taki jak w rozmowach po polsku Najświętszej Panienki objawionej na klonie, z dwiema dziewczynkami: Justyną Szafryńską i Barbarą Samulowską.

Pierwsza Pani – Marta

Pierwsza Pani w tej wyjątkowej księgarni to żona Andrzeja – Marta Samulowska. Przywieziona ze Śląska, z Mikołowa. Nie chciała wyjść za Andrzeja Samulowskiego, gdyż był od niej o siedemnaście lat starszy. Chorował na reumatyzm przez co zaniedbywał księgarnię. Jak pisze Melchior Wańkowicz w „Na Tropach Smętka" (str. 147, IV wydania, 1936, Wydawnictwo Biblioteka Polska): „Matka mnie wzięła na odpust do Gietrzwałdu. A natłok był taki, że od pierwszego dnia stanęłam za ladą i pomagałam... Potem on pisał, że leży chory, że księgarnia zmarnieje. Rodzice mi powiedzieli jaka to ważna rzecz. I pobraliśmy się".

I dalej Wańkowicz:

„I gdy już jesteśmy przed kościelną furtą, pada mój wzrok na sklepik z dewocjonaliami.

Gdzież jak nie tam, znajdziemy Legendę, która staje się Prawdą, i Prawdę, która jest Legendą.

I gdy już podchodzimy blisko – na szyldzie – jak umowny znak, jak ryba starochrześcijańska, wita nas polski napis: „Księgarnia".

Tedy bez żadnych ogródek wchodzimy z „pochwalonką".

Odpowiada nam siwa, rześka staruszka.

Pani Samulowska.

To słowo – to cały dźwięk półwiecza.

Jak kiedy z odłupanej bryły widzisz warstwy, które ją w historii tworzyły, tak i z jej życia widać dzieje polskiej Warmii.

I widać, jak ta Warmia, najdalsza z polskich ziem, żyła przed wojną w organicznym związku duchowym z resztą ziem Rzeczypospolitej.

I odtąd Pani Samulowskiej tu życie upływa. Dohodowała się czterech chłopców i trzech córek. Mąż żył do później starości. Był to poeta warmiński (wiersze jego znajdujemy w zbiorku Steffena, wydanym Kraków 1936). Ostatni wiersz napisał jako osiemdziesięciosiedmioletni starzec na urodziny swojej siedemdziesięcioletniej żony.

Pani Samulowska opowiada o wypadkach plebiscytowych z ogniem młodej panienki. Przypomina mi się, jak moja babka opowiadała o powstaniu styczniowym. W dziwnej świeżości serca Bóg konserwował te kobiety, które zawsze życie umiały poświęcić obowiązkowi.

No, a teraz...teraz został jako przeciwwaga Smętka ten oto sklepik z dewocjonaliami i ten napis na szyldzie „Księgarnia".

– Niech tam ta pamiątka zostanie – mówi smutno p. Samulowska. I staruszka nie daje się zwieść żadnym presjom".

Druga Pani – Brygida

Druga Pani była Pierwszą Damą gietrzwałdzkiego księgarstwa, gdy na frontowej ścianie zapraszał napis „Księgarnia A.Samulowski". Zaczęła w 1957 roku, po urodzinach trzeciego dziecka – Aliny. Najstarsza była Basia, a jedynym synem Wojtek. Henryk Samulowski Brygidę, tak jak Martę Andrzej Samulowski, znalazł na Śląsku, w Rybniku. Właściwie to Brygida nie od początku była księgarzem, co się zowie. Wypełniała funkcje kolportera. Jej mąż Henryk dowoził książki z Olsztyna skuterem „Osą". To syn Lucjana, jednego z synów Andrzeja Samulowskiego. Drugim synem był Andrzej Samulowski, malarz Ukochanej Warmii.

– Moim doradcą była Pani Apolonia Jasutowicz – wspomina Pani Brygida. – Niezwykły księgarz, znakomity znawca literatury, żywa historia księgarstwa w Olsztynie i na Warmii. Cudownie potrafiła mi doradzić, osobie początkującej w tym zawodzie, co moi klienci będą chcieli kupić. Zawsze trafiała doskonale. Wspominam ją z jak najcieplejszymi uczuciami. Kiedy zmarła w 2001 roku, a miała ponad 50 lat doświadczeń zawodowych, w moim sercu zapanował wielki smutek. Była mistrzem w swym zawodzie, to coś co tak rzadko się zdarza, jej uśmiech i życzliwość sprawiały, że każdy chętnie sięgał po daną pozycję.

Pani Brygida ceniła sobie możliwość pracy jako kolporter, gdyż sama mogła wybierać sobie godziny pracy. W ten sposób miała więcej czasu dla trójki dzieci: Basi, Wojtka i Aliny.

– Największy ruch panował oczywiście podczas odpustu: małego w sierpniu oraz dużego we wrześniu – dodaje. – Każdy gość chciał wywieźć z Gietrzwałdu pamiątkę, toteż drzwi się nie zamykały, a czas pracy wydłużał się do kilkunastu godzin.

Codziennymi, stałymi klientami byli: ówczesny komendant posterunku milicji, weterynarz, naczelnik gminy i miejscowy lekarz.

Pewnego dnia (w latach 60-tych) do drzwi księgarni zapukał Melchior Wańkowicz. Ostatni raz był tu przed wojną, teraz – z reporterskiej ciekawości – chciał zobaczyć, jak dalej toczą się losy rodziny Samulowskich.

– Pamiętam, że było to dokładnie 1 sierpnia, rocznica Powstania Warszawskiego – mówi pani Brygida. – Pan Melchior najpierw obejrzał księgarnię. Później skorzystał z mego zaproszenia i usiadł w fotelu w pokoju obok. Nie chciał ani pić, ani jeść. Jak powiedział, to dla uczczenia kolejnej rocznicy powstania, w którym zginęła jego córka Krystyna. Na podłodze przy jego nogach siedziała zasłuchana i z otwartymi buziami trójka dzieci. Dla nich to było także niezwykłe przeżycie.

Melchior Wańkowicz utrzymywał kontakt listowny: oglądamy zaproszenie na msze świętą odprawioną przez księdza Jana Zieję z okazji pięćdziesięciolecia ślubu Zofii z Małagowskich i Melchiora Wańkowiczów w kościele s.s. Wizytek w Warszawie. A także pozdrowienia– „Brygidzie Samulowskiej z miłymi wspomnieniami – M Wańkowicz 31/V/1970".

Do księgarni w tamtych czasach nie zaglądał żaden dziennikarz. Samulowscy i ich księgarnia, to nie był temat na komunistyczne czasy. Podczas odpustów zdarzało się, że zjawiał się „smutny pan" i kazał zamykać drzwi. Był też pomysł specjalnych służb, by odkupić Dom Samulowskich pod ówczesnym numerem 33. Wszak z balkonu doskonale widać ołtarz w Bazylice. To tu, w 1977 roku, w stulecie Objawień odprawiał mszę Kardynał Karol Wojtyła, zastępując chorego Stefana Wyszyńskiego. Wszyscy byli zawiedzeni, że to tylko kardynał z Krakowa, a nie Prymas Polski. Ponad rok później zasiadał już na Piotrowym Tronie w Rzymie, a lud gietrzwałdzki o nim nie zapomniał oddając się modlitwom.

Brygida Samulowska była księgarzem w Gietrzwałdzie do 1964 roku, do czasu przeprowadzki do Olsztyna. Tam kierowała Księgarnią Akademicką do 1990 roku. Pani Brygida skończyła w październiku 80 rok życia.

Gwiazdka Gietrzwałdzka

Święta Bożego Narodzenia w Gietrzwałdzie odchodziły od przedwojennej tradycji, gdyż ludność stopniowo się wymieszała. Dzielono się opłatkiem, czego tu nie robiono przedtem. Kiedyś chodził szemel ze sługami i rozdawał prezenty, a potem gwiazdor. Zachował się zwyczaj, że w pierwszy dzień świąt ludziska siedzieli po domach – jak opisała Maria Zientara-Malewska – chrupali orzechy i pierniki. Dopiero drugiego dnia odwiedzano się, najczęściej z winkiem. Śląskie serce Brygidy, choć już biło po warmińsku, polecało makówki. Należało upieczone drożdżowe bułeczki z dużą ilością masy makowej układać w głębokiej salaterce, przekładać bakaliami, potem zalać gorącym mlekiem. Potrawa powinna być przygotowana kilka godzin przed podaniem, aby mleko miało czas wsiąknąć. Podawało się posypane cukrem i polane gorącym masłem.

To jest tradycyjna potrawa wigilijna na Śląsku. Cały czas u córki Barbary w Olsztynie i syna Wojtka w Gietrzwałdzie, makówki są w dalszym ciągu obowiązkowym daniem wigilijnym.

Trzecia Pani – Teresa

Trzeciej Pani: Teresie Samulowskiej było chyba najtrudniej w księgarni w latach 1981-1993 dźwigać ciężar tak wspaniałej tradycji. Główny krąg odbiorców książek był prawie taki jak poprzednio. Tyle, że na odpust przyjeżdżało coraz więcej ludzi i zaglądało do niewielkiego pomieszczenia księgarni. Prawdziwa poetyka zjawiała się w tych skromnych murach, gdy zaglądał tu, jak mógł, Jerzy Hajdyga, ksiądz-poeta. Był tak spragniony książek, że nieomalże przeglądał każdą z nich. Kiedy opowiadała Teresie o sobie, o swych kolejnych pomysłach na wiersz, dawała znać jego olbrzymia wrażliwość. Potem na odgórne polecenie musiał wyjechać. Księgarnia nie przetrwała w tych nowoczesnych czasach, w których przede wszystkim liczy się zysk. Pozostały za to zdjęcia na ścianach i genius loci tych ścian, który pomaga Wojciechowi Samulowskiemu w pracy, gdyż tu ma swój gabinet. Nie zmienił się napis „Księgarnia A. Samulowski", który na białym tle wita wszystkich pielgrzymów, zanim skręcą w prawo do kapliczki i Cudownego Obrazu Najświętszej Panienki.

Andrzej Dramiński

Godne Święta najdalszej z polskich ziem

Boże Narodzenie trochę inaczej

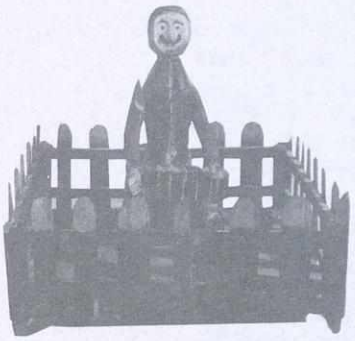

Fot. Ze zbiorów Muzeum Warmii i Mazur

dok. ze str 1

Obserwowano też niebo – wygwieżdżone oznaczało, że kury będą się dobrze niosły. Dziewczęta wróżyły o zamążpójściu – wychodziły w tym celu przed dom i wołały: „ szczekaj pies, gdzie mój miły jest". Ukochany miał pojawić się z kierunku, z którego dochodziło szczekanie psa. Inna wróżba polegała na tym, że dziewczyna obejmowała jak najszerzej rozpostartymi ramionami sztachety w płocie. Liczba parzysta oznaczała rychłe zamążpójście. Chodziły także do przerębli i nabierały z dna garść żwiru. Po przyjściu do domu liczyły kamyki. I w tym przypadku parzysta liczba oznaczała znalezienie partnera w ciągu roku.

Prezenty otrzymywały przede wszystkim dzieci. Nie były to kosztowne upominki. Najczęściej – odzież, zabawki wykonane przez rodziców, czy sąsiadów lub krewnych. Na Mazurach przynosił je św. Mikołaj zwany tu Nikolusem lub Pikolusem. Na Warmii czynił to „szemel" – biały koń konstrukcji podobnej do krakowskiego Lajkonika. „szemel" miał na szyi dzwonek, wewnątrz znajdował się człowiek ubrany na biało, w masce na twarzy i bibułkowej czapce na głowie. W ręce trzymał bat zakończony skórką z węgorza. „Szemelowi" towarzyszyli „słudzy" ubrani na biało, w maskach i bibułkowych czapkach. Jeden z nich miał ze sobą koszyczek na dary – drobne pieniądze i żywność. „Szemel" biegał po domu i psocił.

Wierzenia skandynawskie mówią, że w okresie świąt Bożego Narodzenia wędruje po świecie Odyn – naczelny bóg Wikingów – z orszakiem sług. Wszyscy ubrani na biało jeżdżą na białych koniach, a w izbie ustawia się snopy owsa dla zdrożonych koni Odyna. Trudno orzec, czy to przypadkowe podobieństwo, czy ślad kontaktów międzykulturowych, niemniej analogia jest zastanawiająca.

Duchy-goście

Wspomnę tu o zabawnym incydencie, związanym z mazurską wigilią. Opowiadała o nim główna bohaterka, dziś już osoba osiemdziesięcioletnia. Przyjechała na Mazury z Wileńszczyzny krótko po wojnie. Tu wyszła za mąż za Mazura. Mąż bardzo szybko polubił wileńską kuchnię żony, ale na wigilię domagał się kategorycznie pieczonej gęsi i głuchy był na wszelkie perswazje. Żona więc przyrządzała ową gęś mając przy tym wyrzuty sumienia, bo w jej domu w wigilie obowiązywał ścisły post. W końcu postanowiła zadziałać sposobem. Poprosiła przyjaciółkę, by ta zaprosiła ją z mężem na wigilię. Liczyła, że jeśli mąż spróbuje postnych potraw, da się przekonać do bezmięsnych dań. Kiedy weszli do domu przyjaciółki ujrzała na stole pieczoną gęś i usłyszała komentarz: „ zwykle u nas jest post, ale skoro mamy gości..". Mąż na to: „Widzisz, wszyscy jedzą gęś na wigilię". Tak skończyła się próba „nawrócenia" Mazura.

Noc wigilijna była nocą poświęconą duchom. Nie wygaszano więc ognia w piecu, by dusze mogły się ogrzać po drodze z zaświatów. Przy piecu stawiano ławkę posypana piaskiem, aby rano po śladach stwierdzić kto z rodziny był z wizytą. Z resztek wieczerzy wigilijnej przygotowywano kolacje dla duchów. O północy gospodarze wychodzili do inwentarza, by podzielić się wieczerzą. Istniało przekonanie, że w tę noc niektóre zwierzęta mówią ludzkim głosem, a konkretnie te, których przodkowie byli w stajence betlejemskiej: bydło, owce, psy. Dar mowy otrzymały w podzięce za to, że swymi oddechem i ciepłem ciał ogrzewały nowonarodzonego Zbawiciela.

Z wiarą w przybywanie na ziemię dusz zmarłych w okresie świąt Bożego Narodzenia związany był szereg zakazów. Nie wolno było rozwieszać prania na sznurach, bo dusze mogły się na tych sznurach powiesić, nie wolno było wylewać wody bezpośrednio za próg, aby nie oblać koszuli duszy wędrującej po podwórzu. Opowiadano o kobiecie, która złamała ten zakaz i przez resztę życia musiała suszyć koszulę duszy, którą oblała. Jeśli już istniała konieczność wylania wody należało najpierw powiedzieć: „uciekajcie wszystkie dusze, bo ja wodę wylać muszę".

Rogale i kolędnicy

Na Warmii i Mazurach nie było zwyczaju chodzenia na pasterkę. Do kościoła udawano się nazajutrz rano, na pierwszą mszę. Od tej chwili rozpoczynał się czas spotkań rodzinnych, spotkań z przyjaciółmi i zabaw. Zaczynali też chodzić po wsi przebierańcy zwani „rogalami", od rogatych pączków, którymi ich częstowano. Rogale śpiewali kolędy, składali świąteczne życzenia, odgrywali historię króla Heroda i w improwizowanych rymach przymawiali się o datki.

Stompa pani, stompa, kluczykami brząka,
Od komórki do sionki szuka noża do pieczonki,
Oj dajcież nam świńskiego ciała,
żeby się dusza wasza do nieba dostała.

W skład grupy „rogali" wchodzili: bocian, koza, niedźwiedź, baba z koszem na datki, dziad z instrumentem muzycznym – mogła to być harmonia, skrzypce, diabelskie skrzypce – i, zależnie od fantazji organizujących grupę, inne postacie o charakterystycznym wyglądzie: kominiarz, żołnierz, Cygan, Żyd itp. Zawsze jednak w skład orszaku „rogali" wchodziły wspomniane zwierzęta symbolizujące siły przyrody, które należało przebłagać, usposobić przychylnie, uprosić pomyślność. Niedźwiedź symbolizował wszystko to, co człowiekowi wrogie w przyrodzie, bocian wszystko co dobre, koza była symbolem płodności.

Pogodne „nowolatko"

W drugi dzień świąt Warmiacy zanosili do kościoła wino do poświęcenia, Mazurzy zaś piwo. W wigilię Nowego Roku napoje te mieszano z mąką i z powstałej masy lepiono figurki „nowolatka". Były to przedstawienia zwierząt, ludzi, podobizny roślin. Okruchy „nowolatka" spożywali ludzie, dodawano je do paszy dla zwierząt i wsypywano między słomę, którą owijano drzewa w sadzie. „Nowolatko" miało zapewnić zdrowie, szczęście, powodzenie i płodność w nowym roku. W wigilię Nowego Roku gotowano też specjalną obrzędową potrawę, zwaną „breją" . Był to rodzaj polewki z żytniej mąki, obficie okraszony. Spożywała ją cała rodzina, wspólnie, z jednej miski nawet wtedy, gdy już zwyczaj korzystania z jednego naczynia przy wspólnym posiłku zanikł. Wspólne spożywanie „brei" symbolizowało jedność i zgodę w rodzinie. Po skończonym posiłku ojciec rodziny wychodził przed dom i wołał głośno; „ Po brei", co oznaczało nadejście Nowego Roku.

Z ciasta nowolatkowego sporządzano także podobiznę kołyski lub dziecka, różańca lub krzyżyka i pierścionka albo obrączki. Wróżono sobie następnie przykrywając te przedmioty talerzami. Wróżący musiał, oczywiście nie wiedząc, co jest ukryte pod talerzem, wskazać jeden z nich. Dziecko lub kołyska oznaczało potomstwo, pierścionek lub obrączka ślub, bądź zaręczyny, a krzyż czy różaniec, staropanieństwo, albo klasztor. Bawiono się ponadto w „chwytanie szczęścia" – uczestnik zabawy musiał z miednicy napełnionej wodą wyciągnąć ustami „szczęście", czyli leżącą na dnie monetę.

Przestrzegano też zwyczaju, by w nowym roku niczego nie pożyczać, bo „wynosi się szczęście z domu". Pierwszy gość tego dnia powinien być mężczyzną. Przybycie jako pierwszej kobiety oznaczało nieszczęście.

Orszaki „rogali" wędrowały po wsi do Trzech Króli, by w południowej części regionu ustąpić miejsca innym kolędnikom. Byli to Trzej Królowie ubrani na biało, w barwnych płaszczach, złotych koronach z cynfolii, z szopką, gwiazdą i instrumentami muzycznymi. Czasem towarzyszył im anioł, diabeł i śmierć. Ci kolędnicy składali życzenia noworoczne i przedstawiali historie króla Heroda. Tym akcentem kończyły się Gody i rozpoczynał karnawał.

mgr Elżbieta Kaczmarek
kierownik Działu Etnografii
Muzeum Warmii i Mazur

Opisy zdjęć:

– Grajek, który siedzi za płotkiem to stojak do choinki. Figurka ma na plecach otwór do osadzenia.

– Słupek z gwiazdką jako podstawą i zwieńczeniem to świecak adwentowy. Na tej konstrukcji zawieszano wieniec, wstążki i świece.

– dwie kozy z orszaku "rogali".

Książka * Nowość

Opowieść prawdziwa

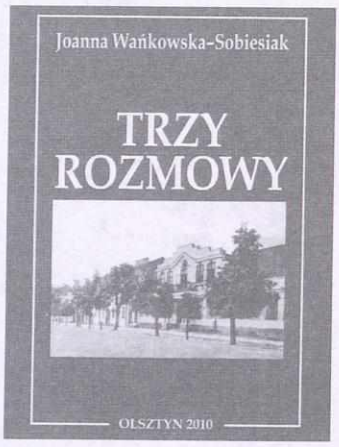

W Studiu Poligrafii Komputerowej „SQL" s.c. ukazała się książka Joanny Wańkowskiej-Sobiesiak „Trzy rozmowy". Autorka swą kolejną pozycją kontynuuje reporterskie ukazywanie człowieczych losów, nade wszystko związanych z regionem Warmii i Mazur.

W „Trzech rozmowach" – jak się można domyślać - zarysowane są trzy postaci kobiet, trzy losy, trzy życiorysy: Lilki Lutyńskiej, Alicji Buczyńskiej i Aliny Ziętkiewicz. Czy jest w ich losach coś, co je łączy, co uzasadnia ich opisanie w jednej książce? Owszem, ale o tym dowiemy się w ostatnim rozdziale książki, więc nie zdradzam rozwiązania.

Każda z bohaterek ukazana jest w innym świetle, ich opisanie koncentruje się na różnych zagadnieniach. Otoczenie wypełniają osoby nie mające nic wspólnego z którąkolwiek z opisywanych pań.

W efekcie więc czytelnik poznaje coraz to nowe osoby dramatu – mamy więc ludzi biednych i bogatych, złych i dobrych. Życie toczy się w radości i beztrosce. Czytający ma sposobność współuczestniczenia w definiowaniu patriotyzmu, który wykuwa się wystawiany na próbę – a to w oku cyklony nienawiści, okrucieństwa czy zemsty.

Wreszcie tok zdarzeń stawia jedną z bohaterek mogącą mieć oparcie w osobach prawych i podjąć życiowo najważniejszą decyzję – o oddaniu się pomocy innym. To staje się celem życia.

Jest w tej książce nieco miłości, są uniesienia, zatracanie się w uczuciu, lecz górę nad tym biorą rychło rozczarowania, kłamstwo i zdrada. Czy więc w finałowej kadencji życia nastąpi szczęśliwe rozwiązanie? Najczęściej – jak to w książkach bywa – tak. Ale to jest reportaż z życia. Jednego życia. **kjp**

Joanna Wańkowska-Sobiesiak, „Trzy rozmowy", Studio Poligrafii Komputerowej „SQL" s.c., Olsztyn 2010.

Internetowa błogosfera

Zawsze się zastanawiałem, czym kierują się kibice obdarzając zawodnika lub trenera wprost bałwochwalczym uwielbieniem, by – gdy powinie się noga i najlepiej nie wiedzie – obarczać winą o wszystko, co najgorsze.

Być może temat nie najlepszy przed zbliżającymi się świętami Bożego Narodzenia, bo czytającego zmusza do refleksji nad przyczynami tego typu zjawisk, ale co miałem zrobić, gdy w moim ukochanym mieście nagminnie na nie natrafiam. I chociaż trwają od wielu lat, w erze powszechnie panującego Internetu, nabrały szczególnego wymiaru. Dziś każdy, kto choć trochę jest obeznany z tym narzędziem, za punkt honoru uznaje podkreślenie swojej ważności poprzez wypisywanie na forach komentarzy do każdego zdarzenia i mającego dowodzić znajomości rzeczy czy słuszności oceny.

Przed laty też się z tym stykałem, ale wówczas nie było technicznych możliwości do swobodnego wyrażania uczuć i pozostawały jedynie szeptane przekazy. Na szczęście, co bardziej światłych obywateli niewiele obchodziły, i z braku oliwy, mogącej podgrzewać temperaturę owych dyskusji, nawet najbardziej pesymistyczne obrazy przyszłości znikały z życia publicznego.

Ale dziś, momentami włos na głowie się jeży, gdy czyta się najróżniejsze „wypociny", które niewiele wspólnego mają z rzeczywistością, jednak w zamyśle autora mają pomóc w uzdrowieniu sytuacji. Ostatnio takich uzdrowicieli i podpowiadaczy trochę się napleniło, to w większości ogromna armia anonimowych pisarzy, którzy sami dla siebie stanowią źródło informacji i, których celem jest jedynie rozpowszechnianie plotek czy prezentowanie opinii skrajnych i radykalnych.

Niektórzy z polskich socjologów określają zachowania społeczności blogerów mianem „błogosfery". Bo publikowanie materiałów w Sieci nie jest obciążone żadnymi irytującymi ograniczeniami etycznymi, dużo łatwiej o publikowanie pogłosek czy niedomówień jako informacji. A część blogów zawiera radykalne, uogólniające, niczym nie poparte komentarze, doszukujące się w wielu wydarzeniach spiskowej teorii dziejów.

Jak to się ma do sportowego krajobrazu Olsztyna? Przypadek z niedalekiej przeszłości, gdy w Indykpolu AZS UWM dokonała się zmiana na stanowisku trenera, najlepiej o tym świadczy. Oto przykłady (pisownia oryginalna): WOLF – „i co z tego, że zmienią Sordyla na jakiegoś innego trenera. I tak żaden trener nie da rady ożywić tego trupa jakim jest teraz AZS. AZS jest już skończony i Ci nieliczni kibice którzy utożsamiają się jeszcze z tym klubem muszą się wreszcie z tym pogodzić. Tak naprawdę to AZS u już niema!"; QW – „Najwyższy czas ale i tak nic nie da dadzą te prowizorki po prostu nie macie juz zespołu to co było kiedyś już nie wróci. Trzeba pieniędzy i prawdziwych zawodników jak kiedyś Papke, Kadziewicz i reszta teraz co rezerwat ten lepiej dzieci z ogólniaka weźcie lepiej wam zagrają"; KWINTO – „A co rumun może wiedzieć o polskiej siatkówce??? Ale bzdura!!!; TOMMY – „Trzeba było wziąć Castellaniego, albo Sucha, a nie jakiegoś Rumuna za przeproszeniem, teraz będzie pół roku poznawał drużynę, a na koniec sezonu II liga i podziękowanie za współpracę".

Chyba wystarczy. I co z tego, że publikuje się łatwo i bez ograniczeń, a zamieszczanie informacji niesprawdzonych zwalnia przed krytycznym osądem i nie przeszkadza w łamaniu standardów etycznych.

O ile w pewnych sytuacjach bycie amatorem jest zaletą, w tym – jest wadą, cholerną.

Wszystkiego najlepszego

Wacław Ostoja

Do życzeń przyłącza się Zbigniew Piszczako

Konieczny milion podpisów

Przeciw „polskim obozom"

– Jeżeli sześć milionów obywateli Polski mogło oddać swoje życie podczas drugiej wojny światowej, to myślę, że milion Polaków może teraz złożyć swoje podpisy, aby ich w ten sposób uhonorować – mówi Alex Storozynski, prezes Fundacji Kościuszkowskiej i znany amerykański dziennikarz polskiego pochodzenia, który jest pomysłodawcą petycji.

Celem tej inicjatywy jest doprowadzenie do tego, by największe amerykańskie redakcje, takie jak – „New York Times", „Wall Street Journal", „Washington Post" czy agencja Associated Press – wprowadziły do tzw. Stylebooków (dziennikarskich podręczników, które określają, jak należy i jak nie należy pisać) zapis o tym, że nie wolno używać terminu „polski obóz koncentracyjny". Zamiast tego powinno się używać – oficjalnie zaakceptowanej przez UNESCO – nazwy obozu Auschwitz-Birkenau, a więc „niemiecki, nazistowski obóz koncentracyjny i zagłady".

Czy Polakom uda się zebrać milion podpisów przeciw „polskim obozom"?

ndsł

Link do strony z petycją:

www.thekf.org/events/news/petition/

Twarze olsztyńskich mediów

Zbigniew Piszczako

– najważniejszy jest pomysł

Olsztyniak z urodzenia. Od dziesięciu lat jest członkiem Stowarzyszenia Polskich Artystów Karykatury, od roku Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich. Jego charakterystyczne, a przez to rozpoznawalne rysunki pojawiają się nie tylko w warmińsko-mazurskich periodykach, czasami też stanowią ilustrację w książkach. Z zamiłowania turysta. Lubi wędrować, szczególnie po górach, jest aktywnym członkiem PTTK. Obecnie jego największym oczkiem w głowie jest trzyletni synek Wiktor, który w wolnych chwilach absorbuje go bez reszty.

Od kiedy zajmujesz się rysunkiem satyrycznym i karykaturą?

Gdzieś od połowy lat osiemdziesiątych. Jeden z moich rysunków ukazał się po raz pierwszy w „Gazecie Olsztyńskiej" w 1986 roku i ten rok można przyjąć jako datę mojego profesjonalnego debiutu.

Po kim odziedziczyłeś talent do rysowania i czy Twój syn zdradza podobne zdolności?

Mój tata maluje obrazy, ale olejne. Na dobrą sprawę, jeżeli chodzi o rysunek satyryczny, to mogę powiedzieć, że w tej branży jestem pierwszy. Moja siostra cioteczna mieszkająca na Białorusi ma podobne zacięcie, ale została lekarzem i przestała się tym zajmować. Mojego syna natomiast interesuje bardziej śpiewanie, niż malowanie. Może to i dobrze, bo przynajmniej ściany i meble są bezpieczne.

W tym zawodzie bardziej liczy się talent do rysowania, czy pomysł na rysunek?

Jeżeli popatrzymy np. na twórczość Sławomira Mrożka, to w jego rysunkach jest przede wszystkim pomysł. Ja też wychodzę z założenia, że najważniejszy jest pomysł, a dopiero później jego realizacja. Na tym drugim etapie, kiedy ktoś ma jeszcze talent, rysunek jest technicznie lepiej zrobiony. Żeby go dobrze wykonać, czasami trzeba zrobić wcześniej kilka szkiców, żeby efekt końcowy zadowolił na początku samego autora, a później oczywiście odbiorcę. Zdarza się, że rysunek powstaje w ciągu kilku minut, ale bywa też, że musi swoje odleżeć i szkice są po kilku dniach poprawiane.

Z jakimi pismami współpracowałeś i współpracujesz obecnie?

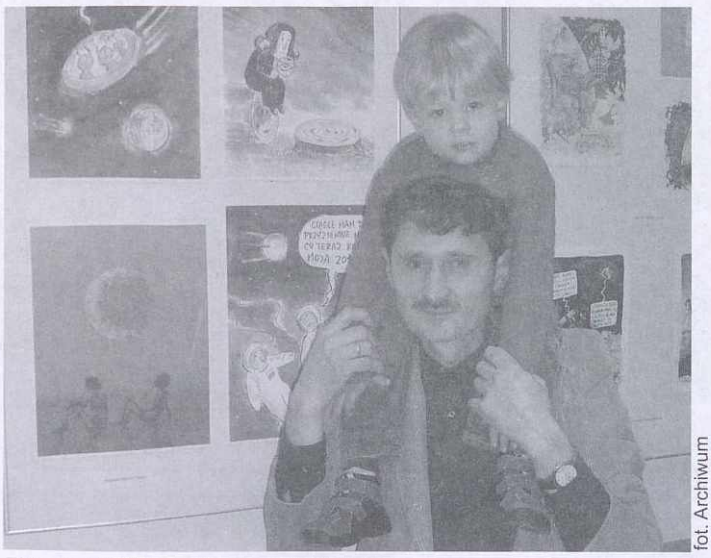

fot. Archiwum

Zbigniew i Wiktor, w tle rysunek Zbigniewa

Regularnie współpracowałem i współpracuję z naszymi regionalnymi pismami; „Gazetą Olsztyńską", „Dziennikiem Pojezierza", „Tygodnikiem Warmińskim „teraz „Nowym Życiem Olsztyna". Zdarza się też, że moje rysunki zamieszczały i zamieszczają inne pisma np. „Sztandar Młodych", „Wprost" czy „Super Express". Także periodyki satyryczne: „Szpilki", „Karuzela", „Gilotyna", „Dobry Humor". W sumie nazbierało się tego trochę. Są też rysunki w katalogach wystawowych, a jest ich kilkanaście każdego roku.

Czy rysunkiem można wyrazić tak precyzyjnie myśl jak tekstem?

Jeżeli się „czyta" taki rysunek, to myśl autora szybciej dociera do czytelnika, niż w przypadku tekstu. Jest to zdecydowanie szybszy rodzaj informacji.

Co Cię inspiruje kiedy szukasz pomysłu, tematu?

Tu zacytuję klasyka – „oczywista oczywistość", że otaczająca nas rzeczywistość jest kopalnią tematów dla każdego satyryka. Ale również są pomysły, które ktoś podsyła, np. sugestie co do ilustracji jakiegoś artykułu, do tego dochodzi też humor abstrakcyjny. Najlepiej rysuje się to, co wpadnie do głowy, bez przymusu, że za kilka dni lub tydzień muszę zrobić rysunek. Wtedy zdarza się, że pomysł do głowy nie przychodzi.

Jakie techniki wykorzystujesz w swojej pracy?

Mogę powiedzie, że klasyczne. Piórko, tusz i marker. Jeżeli chodzi o rysunek kolorowy, to głównie akwarele. Mało używam komputera, bo uważam, że takie rysunki są zbyt sterylne.

Tekst można zawsze poprawić, a jak to jest z rysunkiem?

Szkic można poprawić zawsze, albo narysować kolejny. Gotowy rysunek jest już dziełem skończonym. Kiedy ma się inny pomysł na dany temat, trzeba wykonać nowy rysunek. Chyba, że jest to rysunek z dymkiem, wtedy wystarczy w niektórych przypadkach zmienić dymek.

Miałeś jakichś mistrzów na których się początkowo wzorowałeś?

Kiedy zaczynałem w latach osiemdziesiątych, wtedy w „Szpilkach" i „Karuzeli" królowali: Mleczko, Lutczyn, Jujka a w innych pismach – Lengren i Kobyliński. Byli to rysownicy bardzo popularni, oglądało się i podziwiało ich pomysły. Ale tak na dobrą sprawę, nie mam takich wzorców, które byłyby dla mnie jakąś tam wyrocznią. Bardzo lubię np. kreskę Aleksandra Wołosa, bo jest bardzo delikatna i oszczędna. Na jego rysunkach nie ma za dużo linii, są proste, czyste i od razu wiadomo o co chodzi.

Czy zdarzyło ci się, że Twoja praca została inaczej odczytana niż zakładałeś?

Jeżeli rysunek jest z dymkiem, to dokładnie wiadomo jaki jest przekaz. W przypadku rysunków bez tekstu, zdarza się, że autor miał na myśli jedno a oglądający ma inne skojarzenia. Dzięki temu rozszerzają się horyzonty takiego rysunku i ma on kilka kolejnych istnień.

Co uważasz za swoje największe osiągnięcie jako karykaturzysta?

Były oczywiście mniejsze i większe sukcesy na różnego rodzaju konkursach rysunku satyrycznego. Ważniejsze dla mnie jest jednak to, że mam już swoją charakterystyczną kreskę, po której nie tylko koledzy z branży mogą mnie rozpoznać. Bez podpisu widać, że dany rysunek wykonał Zbigniew Piszczako. W tym roku wychodzi kolejna książka dla dzieci z moimi ilustracjami. Ukaże się w grudniu, przed Mikołajem.

Andrzej Zb. Brzozowski

KSIĘGARNIA SQL®
Studio Poligrafii Komputerowej „SQL" s.c.
Olsztyn, Wańkowicza 24

KSIĘGARNIA INTERNETOWA
Studio Poligrafii Komputerowej „SQL" s.c.
prowadzi sprzedaż wysyłkową
wydawnictw własnych i powierzonych.

Zapraszamy
Aktualnie w ofercie między innymi:

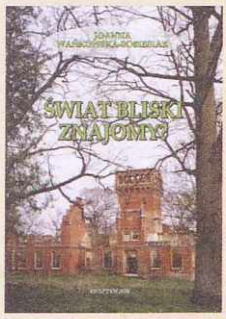

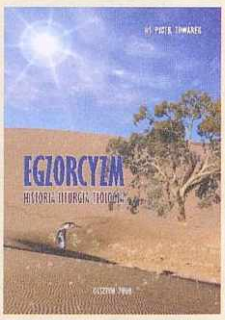

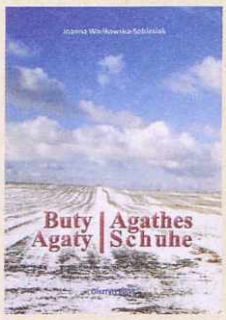

www.ksiegarnia.sql.com.pl e-mail: ksiegarnia@sql.com.pl

KAPITAŁ LUDZKI
NARODOWA STRATEGIA SPÓJNOŚCI

PRACA ZAMIAST ZASIŁKU
PARTNERSTWO NA RZECZ ROZWOJU EKONOMII SPOŁECZNEJ
NA WARMII I MAZURACH

UNIA EUROPEJSKA
EUROPEJSKI FUNDUSZ SPOŁECZNY

Stara szkoła, nowe życie

Spółdzielnia Socjalna Stara Szkoła w Prostkach powstała w styczniu 2007 roku w wyniku programu „W stronę polskiego modelu gospodarki społecznej – budujemy nowy Lisków" realizowanego od 2004 roku przez Instytut Spraw Publicznych w Warszawie.

Uzyskała wtedy około 100 tys. euro na adaptację budynku po szkole podstawowej, w tym były również pieniądze z urzędu pracy na wkłady członków spółdzielni.

– Większość tej dotacji przeznaczona była na remont starego budynku, pozostałe poszły na zakup sprzętu oraz materiałów. Utworzono wtedy pracownię krawiecką. Jej sztandarowymi produktami są zabawki i pomoce dydaktyczne dla szkół i przedszkoli. Najpopularniejszy jest wąż spacerowy, którego sprzedaliśmy już około 1000 sztuk i bocian Wojtek (500 szt.). Bo w spółdzielni jest „hodowla bociana domowego". Szyjemy też suche baseny z piłeczkami oraz piankowe mega klocki – mówi prezes SS Stara Szkoła w Prostkach Sławomir Cisło i dodaje: – Latem wyjeżdżamy na różnego rodzaje festyny z „ogródkiem dziecięcym". Jest to kilka urządzeń, m.in. basen z kulkami, zjeżdżalnia, mega klocki. Rozwijamy również produkcję odlewów gipsowych i wprowadzamy produkt bardzo znany na Zachodzie, specjalne klocki drewniane, które nazywają się u nas „Klocki Madera". Ponieważ spółdzielnia dysponuje powierzchnią 500 mkw., więc wynajmujemy pomieszczenia na różne imprezy.

Nie wszystko układało się pomyślnie. – Zaplanowano „stanowiska zielone", pracownię pamiątkarską oraz gabinet rehabilitacyjny, ale nie udało się ich uruchomić. Chyba w wyniku błędnych szacunków, nietrafionych zakupów i innych nieprzemyślanych działań – ocenia prezes.

Pan Cisło jest już… czwartym prezesem SSSS. Spółdzielnię na początku tworzyło dziewięć osób, jednak dwie zrezygnowały na starcie, kolejne cztery odeszły w listopadzie 2008 roku, w tym poprzedni prezesi. Na szczęście na ich miejsce doszli nowi członkowie, w tym prezes Cisło. Załoga spółdzielni w Prostkach składa się obecnie z sześciu członków (dwóch mężczyzn, cztery kobiety), w tym dwie osoby niepełnosprawne.

– Znaleźliśmy sojusznika w wójcie, który bardzo nas wspiera – podkreśla pan Cisło. – Dlatego zajmujemy się dowozem dzieci do szkół i z powrotem do domu (umowa z gminą Prostki). Również dyrektorzy PUP w Ełku mają bardzo duży wkład w to, że SSSS jeszcze istnieje. Finansuje nam stanowiska stażowe i mamy czworo stażystów oraz stanowiska pracy dla osób niepełnosprawnych, na które dostaliśmy 40 tys. zł.

Rada dla zakładających spółdzielnię? SS to taka sama firma jak tysiące innych na świecie. Trzeba umieć wykorzystać ustawę o SS i mieć naprawdę porządnie napisany biznesplan: taki, który przewiduje kryzys nie tylko w firmie, lecz w kraju czy na świecie. I mieć dobrego menedżera, by przetrwać. Nam największą trudność sprawia zarządzanie firmą, bo gdzie jest dwóch Polaków, tam są trzy zdania – żartuje prezes Cisło. – Spore kłopoty sprawia nam też marketing, chociaż mamy stronę internetową: stara-szkola.org.pl, na której prezentujemy swoje wyroby.

Kj-R5

Projekt współfinansowany przez Unię Europejską w ramach Europejskiego Funduszu Społecznego

Biblioteka w Olsztynie